№ 28. Warszawa, dnia (27 Czerwca) 9 Lipca 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu z szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz z szpaltowy garmontu kop. 50

Korespondencja z Paryża.

O ubiorach.

5 Lipca 1898 roku.

Karnawał letni w Paryżu należy już do przeszłości. Wielkie wyścigi konne już ukończone, wystawy sztuk pięknych zamknięte od 1 Lipca. Paryż wyludnia się z każdym dniem; wytworne rodziny przenoszą się do zamków lub na letnie mieszkania. W magazynach jednak panuje ruch niezwykły; panie wyjeżdżające do wód lub na wybrzeża oceanu, zaopatrują się w suknie i okrywki odpowiednie na lato.

Moda nie zmienia się w gruncie rzeczy, ale nowy przybiera charakter. Zamiast jedwabnych materyi widzimy po magazynach lekkie grenadiny, półbatysty i przejrzyste muszlinki, tak gładkie jak i w kolorowy deseń. Do bardzo modnych należy w tym roku muszlin biały w drobne wypukłe pączki. Na większe ubranie, suknie te noszą podwleczone lekką materyą w jasnych kolorach. Blade barwy, ustępują wyraźnie miejsca żywym, niekiedy nawet jaskrawym; różowy przypomina dojrzałą poziomkę, błękitny podobny do turkusa, zielony wchodzi w jasno trawiasty. Spódniczki obcisłe z przodu i po bokach, w tyle tylko mocno namarszczone lub ułożone w głęboką kontrafałdę. Zdobią je wolantem, zwanym *enforme*, bardzo szerokim w tyle, zwężającym się w miarę, jak zachodzi do przodu. Wolant ten krajany okrągło, tym sposobem prawie płaski na przeszyciu, do dołu zaś spada rzęsisto.

Co do staników, te po większej części odmienne od spódnicy. Oddawna już skutkiem nadużycia tej mody zapowiadano zupełny jej upadek, tymczasem z letnią porą praktyczność zwyciężyła, a wytworny gust nic na tem nie utracił. Czy to w teatrze, czy na przechadzkach i koncertach, widzimy do ciemnych spódniczek jasne kolorowe staniki, ślicznie odbijające na słońcu i przy świetle gazowem. Strojniejsze robią z lekkiej materyi mienionej w żywych kolorach, lub z białego muszlinu w pęczki, na jedwabnem podwleczeniu kolorowem.

Do częstego ubrania przyjęte szmizetki fularowe, albo z lekkiej tkaniny wełnianej w kratę, paski i t. p. Noszą też do kolorowych spódnic bluzki czarne jedwabne, przeszywane wstawką białą gipiurową, szeroką na dwa cale, w drabinkę poprzeczną lub ukośną, tak z przodu jak na plecach. Rękawy obcisłe, przeszywane też odpowiednio. Bardzo ładnie wyglądają białe muszlinowe szmizetki ze wstawką gipiurową dawaną w regularnych odstępach.

Do wyjścia na ulicę przyjęte żakieciki z letniego sukienka w kolorach: granatowym, zielonym, piaskowym albo *mastic*. Dają do nich wyłogi białe sukienne, tworzące z kołnierzem jedną osobną całość, u innych widzimy wyłogi białe pikowe i takież szerokie mankiety u rękawów.

Spódniczki pod suknie odznaczają się wielką wytwornością; jedwabne zdobią falbankami i koronkami. Przy skromnej nawet sukni, spódniczka bywa od niej daleko ozdobniejszą. Widać ją też przy koniecznem podtrzymywaniu ręką tylnych fałdów. Oprócz jedwabnych ukazały się w tym roku białe półbatystowe z haftowanym wolantem i coraz się bardziej upowszechniają przy białej pończoszce ogólnie dziś przyjętej, a co więcej przy białym skórkowym trzewiku, biała spódnica może zastąpić kolorową.

Staniki naszywają w fantastyczny deseń wąziuchną ruszką z jedwabnego muszlinu, w pośrodku rzęsisto przemarszczoną, zwaną *chi-chi*. Ubierają nią także i słomkowe kapelusiki. Co do tych, forma ich najrozmaitsza, w ogólności mała. U strojnych miejsce piór zastępują kwiaty w tak wielkiej ilości, że kapelusik wygląda jak koszyczek napełniony różami, trzymający się na wierzchu głowy. Do wyjścia na ulicę za to przyjęto kapelusiki bardzo skromne ze słomki w kolorze naturalnym. Główka w nich dość nizka, rondka proste bez podpięcia. Wkoło główki przeciągnięta aksamitka czarna na dwa cale, brzeg objęty węższą aksamitką; z boku wpięte piórko czarne lub maleńki bukiecik.

Przejdźmy teraz do sukien. Widzieliśmy dwie bardzo ładne, przygotowane na uroczystość ślubną. O sukni panny młodej niema co mówić, gdyż te mniej więcej wszystkie podobne do siebie — atłasowe czy grosgrin, z długą powłoką, strojne kwiatem pomarańczowym, obwinięte illuzyą spadającą od głowy do ziemi.

Dla jednej z pań obecnych na ślubie zwróciła uwagę naszą suknia z materyi surah, broszowanej na tle czarnem w drobne kwiatki błękitne w odcieniu turkusowym. Spódnica obcisła w górze, szeroka i odstająca u dołu. Stanik spięty na lewym boku, wycięty okrągło, pod to idzie karczek z błękitnego muszlinu jedwabnego, rzęsisto namarszczony. Od wykroju wybiega szeroka bufa z błękitnej materyi, powleczona czarną gipiurą. Szarfa błękitna, długa, spada z lewego boku, objęta wąziuchną ruszką *chi-chi* z muszlinu jedwabnego. Rękawy wązkie zakończone takąż ruszką u dołu.

Dopełnia ubrania toczek upięty jaśminem i maczkiem blado-różowym. Garnirunek tworzy trzy rzędy: najprzód dany jaśmin, nad tem rusza z illuzyi białej, dalej maczki różowe, z boku wpięta biała egretka.

Druga suknia z materyi w odcieniu śmietankowym w drobne czarne prążki, na tem

rzucik różowy i błękitny. Spódnica na 25 centimetrów od dołu naszyta wolantem z czarnego muszlinu jedwabnego ułożonego wężykowato. Stanik atłasowy *crême*, cały powleczony tiulem czarnym w pastyle, na to idzie chusteczka *Marie Antoinette* z końcami zwróconemi do tyłu, ogarnirowana ruszką muszlinową *chi-chi*. Szarfa czarna atłasowa związana w tyle z końcami do ziemi. Rękawy płaskie, nagarnirowane od ramienia do ręki wolancikiem wężykowatym.

Kapelusik do tego słomkowy w kolorze naturalnym. Główka naszyta turkusowymi paciorkami. Brzeg wązki ze słomki *crême*, objęty rulonikiem czarnym aksamitnym. Po jednej stronie na podpięciu rozeta z czarnego muszlinu, po drugiej egretka z dwóch piórek pomięszana z groszkiem różnokolorowym.

Obie te suknie, wykonane w krawieckim zakładzie pani Sierakowskiej przy ulicy Cherche-Midi 13. Polecamy tę firmę paniom naszym odwiedzającym Paryż. Córka pani S. przygotowała z wielkim gustem ładne kapelusiki.

W tejże pracowni zwrócił uwagę naszą kostyum wizytowy z lekkiego sukienka angielskiego *Corsecrem*, w jasnem odcieniu *mastic*. Spódnica gładka z jedną głęboką kontrafałdą ułożoną w tyle. Z przodu spódnicy oznaczony fartuszek w ząb galonem ażurowym, w śmietankowym odcieniu. Stanik z maleńką baskiną, przody otwarte, brzegiem idą kwadratowe klapki, ogarnirowane wąziuchną ruszką *chi-chi* z jedwabnego muszlinu śmietankowego. Dalej poza klapkami naszyty klarowny galon. Pod spód kamizelka morowa w odcieniu *crême*, z żabotem koronkowym. Rękawy płaskie, przeszyte w poprzek galonami.

Na ranne ubranie do wód lub do morza, zwróciły uwagę naszą w magazynie *Printemps* zgrabne, praktyczne kostyumy. Jeden z nich z szarego sukienka, bardzo lekkiego (*drap mousseline*). U dołu spódnicy dany szeroki wolant, płaski w górze, rozniesisty u dołu, w tyle znacznie szerszy niż na przodzie. Nad wolantem naszyty wąziuchny szlaczek sutaszem ciemniejszym. Na to idzie długi prawie do kolan żakiet dopasowany do figury, spięty w pasie na dwie pary szmuklerskich guzików. Przody w górze otwarte, szerokie wyłogi zachodzą w szpiczasty ząb na rękaw, potem zwężają się stopniowo i kończą u guzików. Przednie poły także otwarte, zaokrąglone po rogach. Pod to plastron z półbatystu w czarną kratkę na tle szarem. W środku wybiega naplisowany żabot. Kołnierzyk do tego płócienny, gładko odwinięty. Czarny jedwabny krawat, związany na węzeł, przechodzi wzdłuż żabotu i niknie z nim razem pod guzikami.

Seweryna Duchińska.



MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Spojrzał na nią tęsknemi, smutnemi nagle oczami.

Od chwili, gdy ją spotkał tak niespodzianie, po radości, jaką odczuł na jej widok, zrozumiał swe uczucie tyloletnie. Rozmawiał, pytał i odpowiadał, ale w duszy i myśli miał inne słowa, a w sercu wrzenie i bicie młodej krwi.

Więc to — to było kochanie. Dlatego tak obojętnie mijał wszystkie kobiety. Człowieka chciał. „Wam także!" odparła poważnie. Gotowa była im płacić za dobroć i pomoc. Tedy nie można się zdradzić. Ładne bo było zakończenie. Wymagać od niej poświęcenia ideału, tryumfu, powołania. Popatrzał na nią i umilkł. Smutno mu było, ale przecie dobrze, tylko radby milczał i myślał tak razem z nią, ukołysany—rozmarzony, pierwszy raz w życiu.

Ona zmęczona ogromnie, nie odzywała się także długą chwilę. Wreszcie przeciągnęła się i ziewnęła.

— Czy jeszcze daleko?—spytała.

— Tylko ten gaj miniemy. Ale wiesz, są Włodziowie u nas.

— Cóż ona? Zdrowa?

— Zdrowa, różowa, biała, trochę utyła. Kochają się na umor. Włodzio jak zawsze kpiarz.

— Dobrze mu idzie praktyka?

— Niewiem, nigdy o tem nie mówi.

— Rzemieślnik!—mruknęła.

Kazio się zawahał i spytał jakoś nieswoim głosem:

— Czy ty sobie nie przykrzysz, że my sobie dotąd mówimy „ty."

— Bo co? Aha, Włodzio się z tego śmieje! Co prawda matka mi to zawsze wytykała, że nie wypada. Trzebaby przejść na pan i pani, ale czy będę pamiętała—nie ręczę.

— Tylko przy ludziach.

— O, co to, to nie. Miałabym jeszcze myśleć, kiedy, co? Ładniebym pomięszała! Ha, no trudno, trzeba zapomnieć studenckich zwyczajów. Daj mi pan papierosa?

Wjechali w gaj wonny od rosy, księżyc wschodził. Rozejrzała się Stasia wokoło i rzekła.

— Ładnie jest tutaj, jakby człowiek zdrowie i siły połykał z powietrzem. Ej, chyba przekonam mamę i wybiorę się z tobą kiedy na kaczki. Masz tobie, i znowu ty! Przeklęte ceregiele światowe. Mów mi pan pani, bo zapomnę. Co ci znowu? Śpisz?

— Ja, nie! — westchnął. — Szkoda mi studenckich czasów i naszego koleżeństwa.

— No, tego nie cofam!

— Ale ja czuję, że się skończyło i nie wróci! Otóż i Ruda.

— Dzięki Bogu! Cztery doby jadę bez wytchnienia.

Zajechali przed ganek; Kazio wyskoczył, lecz zamiast wejść razem do domu, ruszył wprost do swego pokoju, tam się rozebrał i nie zapalając światła, rzucił się w fotel.

Sam nie zdawał sobie sprawy, ani co myślał, ani ile czasu tak przebył w ciemności, gdy wtem wpadł Włodzio.

— Co ty tu robisz? Śpisz! Czekają na ciebie z kolacyą. Mama mówi, żeś zapewne zajęty, a ten śpi. Wiesz? uważałeś? Stasia wyładniała. Prawi wciąż o Schonemanie. Gardło dam, że się zakochała w Niemcu. Oczy jej się świecą.

— Świecą się ze zmęczenia. Cztery doby w drodze, to ją tylko nerwy trzymają.

— Ciebie to nie trzymają, śpiochu. Chodźże, my się wybieramy na spacer po kolacyi.

Gdy weszli do jadalni wszyscy już siedzieli u stołu. Kazio znalazł swe miejsce obok Stasi, i w milczeniu zniósł żarty brata o ospalstwo.

— A żeby tak jutro o świcie na kaczki?— zaśmiała się Stasia.

— Źleby było, żebym panią wziął za słowo!—odparł.

— No, no. Proszę nie wyzywać!

— Na litość Bozką!—zaprotestowała Ozierska.

— Niech pani będzie spokojna. W nocy wyjeżdżam na kolej—odparł.

— Gdzie znowu?—spytała pani Taida.

— Do Złotopola na próbę ekstyrpatorów. Zjedziemy się z Jezierskim i Brzezińskim. Nie wrócę, aż dziesiątego, jeśli o Warszawę nie zawadzimy, na wystawę.

— Ej, wróć na wigilię świętego Jana — wtrąciła Irenka. — Przecie mamy nocować w lesie, szukając kwiatu paproci i palić sobótki.

— A będziesz śpiewać w lesie, na rosie?

— Będę.

— Ano, to wrócę.

— Mój drogi—wtrąciła pani Taida — a nie zapomnij o imieninach radcy. Oczekują tam napewno Włodziów i ciebie. I ciotka ma żal, żeś tak dawno nie był.

— Zdaje mi się, że i panna Marya ma żal!—zaśmiał się Włodzio.

— To niech sobie ma! — mruknął Kazio.— Nie mam czasu zachwycać się jej konną jazdą i kostyumami sportowymi.

— Kto jest panna Marya? — zagadnęła Stasia.

— Domniemana moja bratowa! — odparł Włodzio.

Spojrzała na Kazia z drwiącym półuśmiechem. Ale on w tej chwili podniósł na nią oczy i odparł:

— On stworzony na żydowskiego swata, co gotów swatać gęś z prosięciem, byle handel szedł.

— No, bardzo proszę panny Maryi nie porównywać do gęsi, ani do prosięcia. A ty nie bądź tak pyszny i wzgardliwy. Bezemnie się przecie nie obejdziesz, gdy twój moment przyjdzie.

Kazio ruszył ramionami.

— Ani będziesz wiedział, gdy przyjdzie, ani gdy odejdzie. Dam sobie sam radę.

— Oho, czy nie gore! — zaśmiał się Włodzio.

Pani Taida dała hasło powstając, i wnet całe towarzystwo przeszło do salonu.

Ozierska zabrała zaraz Stasię, pani Taida ziewała, Kazio milczał. Włodziowie poszeptali, i sami, cichaczem, wynieśli się do ogrodu.

Stasia, jak to sobie obiecywała, przez dni parę tylko jadła i spała, potem przyszła do pani Taidy, pokazała swój dyplom, ucałowała jej ręce i podziękowała tak wzruszona, że łzy miała w oczach. Rozczuliła tem staruszkę, że zapomniała, jako jej miała prawić kazanie.

— No, cóż myślisz robić teraz ze sobą? — spytała, zdejmując okulary po przeczytaniu dyplomu.

— Myślę wyjechać za granicę, do Szwajcaryi. Mam już tam stosunki, znajomych, utartą drogę. Matka się zgadza ze mną tam zamieszkać i nawet rada, że mi to oszczędzi kucia tu znowu egzaminu. Mam dwadzieścia trzy lata, czasby był szkolarstwo skończyć. Zresztą, tutaj na doktora kobietę patrzą jeszcze z lekceważeniem i niedowierzaniem, o praktykę będzie trudno, a tam inny duch, lżej się oddycha. Więc wszystko rozważywszy, wrócę pod skrzydła mojej *almae matris*.

— A tutejszą opuścisz! Nie dziw, od nędzarki wszyscy uciekają. Niech dogorywa samotna!

— Już jej sił i życia nie wrócę.

— Bardzo wygodny argument dla samolubstwa i materyalizmu! Bardzom rada, że tych twoich zasad Kazio nie słyszy.

— Dlaczego?

— Boś pod względem małżeństwa najdziksze mu wmówiła teorye, a on jest pod twoim wpływem niestety, i powtarza lekcyę jak papuga.

— Nigdy nie było między nami mowy o małżeństwie — zaprzeczyła energicznie Stasia.—Doprawdy, ja sama nigdy o żadnych teoryach w tej kwestyi nie myślałam.

— No, przecie jesteś przeciwniczką małżeństwa?

— Osobiście tak, jako kobieta, ale on mężczyzna—niech się żeni. Co mi tam!

— Jestem pewna, że nie kto inny, a tylko ty mogłabyś go do tego przekonać. Powinnabyś nawet to uczynić dla mnie.

— Gotowam spełnić, co tylko pani sobie życzy.

— No, wątpię, a raczej nie mam prawa życzeń moich ci narzucać. Czyń wedle swej woli. Masz swoje ideały, ja swoje. Nie rozumiemy się.

— Owszem, ja panią rozumiem.

Założyła ręce na kolanach, pochyliła głowę i zamyśliła się głęboko. Pani Taida nie przerywała jej, pisała u biurka list.

W tej chwili lokaj drzwi przemknął i rzekł:

— Proszę pani, Hanna przyszła—Bazylowa.

— Wprowadź ją do kancelaryi.

Po chwili rozległ się płaczliwy głos starej chłopki.

— Proszę pani, ja po radę. Mój stary już od postu rany na nogach ma i zagoić nie można.

— Moja kochana, zaraz ci tu doktora przyślę.

— Pani myśli młodego pana! Jużem go sama prosiła, ale mówił, że niema czasu. Wiadomo, odpocząć do domu przyjechał, a dopiero co widziałam z młodą panią popłynęli do pasieki.

— A gdzież ten twój stary? W chałupie?

— Przywiozłam go. Na wozie leży, tu za bramą.

— Stasiu!—zawołała pani Taida. — Obejrz rany tego chłopa.

Dziewczyna ocknęła się z myśli i weszła.

— Jakiego chłopa?—spytała.

— Mego starego, panieneczko! Od postu na nie leży!—poczęła stara, obejmując ją za nogi.

— Chodźmy!—rzekła pani Taida biorąc kapelusz.

Poszły we trzy za bramę, gdzie na wozie chłop leżał wymizerowany okropnie.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Z psychologii i etyki.

Są niewątpliwie dziedziny myśli ludzkiej otwierające wyjątkowo szerokie pole dla wszelkiego dylletantyzmu, a do takich należą w pierwszym rzędzie współczesne: psychologia i socyologia wraz z etyką.

Umysły młode, żywsze, szukające gorączkowo prawdy wśród rzeczywistej powodzi kierunków, teoryj i metod, które niesie ze sobą chwila obecna, chciwie chłoną każdą taką nową pracę, rozprawę, broszurę, aby potem wedle własnego stopnia rozwoju umysłowego, a przedewszystkiem własnych skłonności, wysnuwać sobie ze spokojnych teoryi naukowych wskazania życiowe, i układać kodeksy moralności indywidualnej—luźnej, dowolnej a stosowanej zwykle do wieku, płci, stanowiska społecznego i epoki, albo też dla zestawiania moralności prywatnej z. publiczną.

Dzisiaj tedy, wedle tego co powiedzieliśmy wyżej, szuka młodość wskazówek w tem, co nosi na sobie, poważniejszy lub mniej poważny, ale w każdym razie jakiś przecie, charakter naukowy, i to stanowi połowę biedy tylko. Wczoraj jeszcze powieść obyczajowa byle jak i przez byle kogo sklecona, zarażała swoją psychologią, a co gorsza bałamuciła etyką, na manowce wyprowadzając zazwyczaj wszelką niedojrzałość umysłową wykrętnem nicowaniem prawdy nawywrot, niepoczciwem często fałszerstwem idei, a niekiedy i schlebianiem najniższym instynktom tłumów.

Wojował kto chciał taką fuszerską psychologią, obrabiał kto miał śmiałość po temu najpoważniejsze zagadnienia etyczne, a owocem tego wszystkiego były wykrzywione i porozluźniane w głowach młodych pojęcia zasadnicze, a na dodatek morderczej banalności i mielizny rozmowy prowadzone po salonach i salonikach naszych.

Z powieścią tak zwaną psychologiczną ostrożniejsi są już dzisiaj nieco pisarze, a nawet ostrożniejszymi czytelnicy z popisywaniem się znajomością tej literackiej tandety, ale za to dowolności zapatrywań niektórych socyologów nowej szkoły mają i dzisiaj swoje ujemne wpływy na umysł niekrytycznego czytelnika, i przeciw tym wpływom występują u nas coraz częściej pióra poważniejsze, oceniające doniosłość praktyczną szerzonych tą drogą błędnych wskazań.

Jednem z wystąpień podobnych jest dra Zygmunta Balickiego sprawozdanie pomieszczone w 3 im numerze „Przeglądu filozoficznego," w którem rozbiera on dzieło włoskiego psychologa Scipiona Sighele, noszące tytuł: „Psychologia sekt."

Pominiemy tę część w sprawozdaniu, która mówi o psychologii tłumu, wziętej z „Le Bon'a," a znanej już czytelnikom „Tygodnika;" zostawimy również na boku określenia i definicye grup społecznych, stronnictw, kast, stanów—tych wreszcie sekt, o których mowa w tytule pracy, a przejdziemy odrazu do tego, za co dr. Balicki występuje najenergiczniej przeciw autorowi, to jest za jego poglądy etyczne.

Według dr. Balickiego zapatrywania Scipiona Sighele dają się streścić w ten sposób: „Moralność sekty, a wogóle i moralność polityczna jest zawsze słabiej rozwiniętą, a przeto i niższą niż moralność prywatna," a to z racyi, że większość ludzi przyznająca, iż moralność ulega zmianom w czasie i przestrzeni, nie chce przyznać tego, że może moralność zmieniać się w jednym i tym samym osobniku. Tymczasem skoro raz dopuścimy jako zasadę, że moralność może być taka lub inna, zależnie od środowiska, w którem żyje człowiek, już tem samem winniśmy zrozumieć, powiada Sighele, że dane indywiduum może mieć moralność taką lub inną, gdy mu ją przyjdzie stosować do odmiennych położeń, stanowisk, powołań i t. d., i t. d. Przykładów daje na to włoski autor ilość sporą—do czytelnika należy ocenienie ich wartości, i tak naprzykład: Pewien poseł zapytany jakiego jest zdania o rozwodzie, wyraził się: „Jako człowiek jestem za rozwodem — jako reprezentant narodu jestem mu przeciwny." Tak samo nie dziwi się wcale Sighele gdy słyszy: Osobiście wyznaję zasady ateizmu, ale jako radca miejski uważam za słuszne, aby religia katolicka wykładaną była w szkołach. Albo jeszcze: „Jako obywatel uznaję zupełną swobodę opinii publicznej, w charakterze jednak ministra poczytywałbym za niesłychaną niezręczność, gdybym nie opłacał prasy, która się daje przekupić."

Do tej również dwoistości, zupełnie zrozumiałej według niego w jednostce, należy całe wogóle zachowywanie się jej na stanowisku publicznem wręcz przeciwne wypowiadanym przez nią przekonaniom osobistym, innemi słowy: „Każdy człowiek może i musi mieć wiele różnych moralności zależnych od środowisk, wśród których występuje i działa; wówczas też samo pojęcie etyczne rozluźnia się stopniowo, gdy je stosujemy do sfer coraz szerszych—do rodziny—stronnictwa—stanu—kasty—narodu. A więc mamy najprzód moralność prywatną, surową, bezwzględną i nieugiętą, a z drugiej strony wielorakie moralności publiczne czy społeczne coraz więcej giętkie i rozciągliwe w miarę tego jak się rozszerzają na grupy ludzkie, wśród których wprowadzamy je w zastosowanie.

Czemże jest wedle Sighele'go najprzód ta moralność prywatna?

Opierając się na tem, iż każdy organizm, aby utrzymać się przy życiu, potrzebuje dwóch kategoryi czynności, a mianowicie: współdziałania wewnętrznego i obrony na zewnątrz, objaśnia odrazu, iż pierwszą kategoryą czynności kierują uczucia przyjazne — drugą antagonizm.

Ogólnie biorąc przyznaje dr. Balicki słuszność temu rozróżnieniu, z zastrzeżeniem wszakże, że są antagonizmy wśród grup nawet najbardziej skonsolidowanych, a zatem antagonizmy wewnętrzne, a z drugiej strony wszak istnieją w stosunkach zewnętrznych pewne, na konieczności oparte, zobowiązania regulujące walkę i stanowiące co do niej prawa. Zresztą ma moralność prywatna swoje ustępstwa, a i moralność w antagonizmie bezwzględną również być nie może. Co do pierwszej widzimy, że przytoczona przez Sighele'go zasada „nie zabijaj" bywa zawieszaną nietylko w wojnach zewnętrznych, ale i w stanie obrony wewnętrznej, czego dowodem są egzekucye sądowe, a nawet pojedynki jako obyczaj, wobec którego bezsilnemi się okazują przyjęte ogólnie zasady moralności. Do tej samej kategoryi zaliczyć wypadnie wszelkie środki uprzedzające przestępstwa. Nikt nie robi sobie np. skrupułów, gdy mu przyjdzie użyć podstępu dla wyprowadzenia w pole złodzieja godzącego na naszą własność, ani nikt nie cofnie się przed użyciem kłamstwa, jako środka obrony przeciw przemocy. A zatem moralność prywatna ma jako zadanie przedewszystkiem powściąganie wszelkiego rodzaju zamachów między jednostkami w czasie pokoju. Jeżeli zaś szukać w niej będziemy jedynych zasad kierowniczych we wszystkich wypadkach życia, włączając w nie i stan walki, nie będzie ona ani bezwzględną, ani powszechną, ani jedyną.

To samo będzie z kwestyą moralności antagonizmu praktykowanego w walkach wszelkiego rodzaju. Jak moralność prywatna robi szerokie ustępstwa na rzecz wymagań walki i obrony, tak samo na polach starć zewnętrznych wprowadza wyższy stopień uspołecznienia ustępstwa, rugujące moralność bezwzględnego antagonizmu.

A zatem widzimy, odpowiada Sighele'mu dr. Balicki, że sasadnicze pozornie sprzeczności w prawidłach postępowania, przywiązane są nie do moralności prywatnej lub publicznej, nie do mniejszej lub większej rozległości grup—nie do grup nawet żadnych wogóle, jako takich, ale do różnic w stosunku wzajemnym pomiędzy jednostkami temi albo grupami. Rzekome sprzeczności dotyczą formuł kodeksu etycznego, ale bynajmniej nie samej moralności społecznej, która stwierdza poprostu przyjęte zasady postępowania wśród całokształtu stosunków, w jakich żyje ludzkość. Tu zaś moralność wyrażająca wzajemny stosunek pomiędzy jednościami społecznemi, jest jedną, niewzruszoną i bezwzględną.

Moralność publiczna grup społecznych nietylko nie jest luźniejszą i bardziej giętką od moralności prywatnej, ale w pewnym zakresie prześciga ją w rygorze. „Wkładając na członków swoich pewien nadmiar obowiązków, wymaga od nich moralności dodatkowej, od której wolni są ludzie prywatni. Stowarzyszenia, partye, czy sekty, stawiają żądania większej solidarności od współczłonków swoich — często ofiar nawet z czasu, sił i mienia. Zawody np. lekarski lub wojskowy wkładają obowiązek ofiary z życia dla dobra innych, a takich artykułów podstawowych przestrzegają one nawet z surowością i bezwzględnością nieznaną sferze moralności prywatnej.

W zewnętrznych między sobą stosunkach grup społecznych widzimy często, ale bynajmniej nie zawsze, że antagonizm i wypływający z niego sposób postępowania przekracza granice słuszności i wzajemnych zobowiązań, ale przyczyna tego faktu leży nie w odmiennej moralności, ale w odmiennej naturze stosunków społecznych. Jeśli stosunki między dwiema grupami oparte są na zasadzie wzajemnego zaufania i płynącej ztąd równowagi, a jedna ze stron tę równowagę zgwałci, postępek taki będzie uznany za niemoralny bez względu na stopień kultury środowiska. Dla tego wiarołomstwo jest bodaj najdawniejszym czynem niemoralnym, uznanym jako taki nietylko przez profesorów prawa kryminalnego w społeczeństwach cywilizowanych, ale nawet przez wszelkie dzikie plemiona zamieszkujące nowo odkrywane krainy.

Dla rozplątania niezmiernie zagmatwanych faktów życia w dziedzinie moralności, radzi dr. Balicki wciąż zwracać uwagę na ścisłe określenie jedności społecznych, a następnie na charakter wzajemnego ich stosunku. Oczywiście charakter tego stosunku inny będzie gdy go, wedle wyrażenia Sighele'go, rozpatrywać będziemy pod kątem moralności prywatnej lub publicznej, ale ztąd ten znowu tylko wniosek, że nie należy tu zestawiać nagich faktów z odmiennych dziedzin. Przytaczane przez włoskiego autora ku poparciu jego założenia „Zabójstwo na wojnie" nie jest ściśle biorąc pojęciem ani terminem socyologicznym, ale wprost przenośnią publicystyczną, będzie niem jednakże zabójstwo parlamentarza, co nas odrazu poucza, że w tamtem określeniu tkwi błąd co do ścisłości, niema bowiem zabójstwa tam, gdzie obie strony narażają swe życie, a nadewszystko, gdy czynią to nie z osobistych pobudek, ale pod rygorem obowiązku, a nawet przymusu. Z tego też punktu zapatrywania, moralnym będzie gwałtowny odpór napaści, niemoralnym zaś bezwzględnie zamach na cudzą indywidualność, choćby w podstępnie łagodnej formie dokonany.

Etyka naukowa znajduje tu swe potwierdzenie w moralności sprawowanej powszechnie. Zasady zaś moralności jednostkowej, tem się tylko różnią od zasad moralności zbiorowej, że w dziedzinie faktów podlegającej tej ostatniej, odpowiedzialność za czyny jest również zbiorowa, choćby te czyny dokonane były przez jednostki.

Wnioski nareszcie do których dochodzi dr. Balicki są, jak on sam twierdzi, wprost odmienne od wywodów Sighele'go i dadzą się streścić w następującem zdaniu:

„Moralność jest jedna zarówno między jednostkami, jak i między grupami społecznemi, różnym jest tylko charakter zachodzących pomiędzy niemi stosunków, bo różnym jest poziom ich uspołecznienia.

„A nadto ponieważ obowiązujące przepisy moralne odnoszą się zawsze do stosunków konkretnych w określonej sferze życia, podlegają więc ewolucyi wraz z postępem tych stosunków i wzrostem uspołecznienia."

„Postępem" i „wzrostem," powiada dr. Balicki. Zrozumiejmy dobrze, że niema tu miejsca na żadną sofistykę, na żadne wykręcanie faktów, które w tej ewolucyi wykazywałyby różne cofania się i obniżania wedle kaprysów chwili. I w ten właśnie sposób daje się zdaniem moralisty naszego, nietylko pogodzić, ale połączyć *moralność bezwzględna z ciągłą ewolucyą stosunków społecznych — ze wzrostem uczuć przyjaznych między ludźmi i z postępem pojęć etycznych ludzkości.*

Uważaliśmy sobie za obowiązek przedstawić czytelnikom poglądy jednego z poważnych naszych umysłów współczesnych na etykę obowiązującą zarówno w stosunkach osobistych, jak w sferze spraw publicznych. Mniemamy, że kobieta dzisiejsza tak dobrze jest zainteresowaną tutaj jak mężczyzna, i takim jej jak mężczyzny obowiązkiem jest poznanie w zasadzie tego co moralne i godziwe, co sprawiedliwe i słuszne. Wykrętna sofistyka dni naszych nazywająca sentymentalizmem wszystko co płynie z głębi przekonań i co opiera się na idei, wszystko co jest uszanowaniem prawa i sprawiedliwości — dopatrująca pewną młodszość i niższość duchową w obstawaniu przy zasadzie, niepokoić powinna umysł kobiety, czy ona będzie matką, czy żoną, a chociażby tylko samodzielną jednostką myślącą. Ostatecznie ta, która się uczy historyi, aby jej później nauczać dziecko własne lub cudze, powinna przecie wiedzieć, że nie cała sprawiedliwość jest po stronie siły, ani cała nieodwołalność po stronie faktu, dlatego tylko, że ten fakt liczy się do spełnionych.

N.

CYSTERNA.

Oparła śnieżną pierś na perłowej cysternie.
Złocista główka, róża z jej barwą płomienia
Na zdrętwiałym kryształe rysują się wiernie.
Wstała z uśmiechem ustek, szepcząc: do widzenia.

W rok później znów dziewczyna szła ku tej cysternie
Cisza martwa zwaliska, gruz ziemię ocienia,
Oślizgłe mchy pleśniowe porosły obszernie...
Z jej oczu łza upadła na dzieło zniszczenia...

Tak to kiedyś w młodzieńczym, gorejącym szale
Przeglądało się moje promienne oblicze,
Odbite w moich marzeń przejrzystym kryształe.

Przyszedł czas i wionęły zabójcze mistrale,
Gruzem wspomnień pokryły zwierciadło zwodnicze...
Wyschła pierś... zblakły oczy... zgasły święte znicze.

* * *

Władysław Sterling.

MODA.

Bardzo naturalnem jest w człowieku pragnienie poznania źródła siły, której ulega. Kobieta ma niewątpliwie nad sobą jedną taką potęgę, której nigdy, a przynajmniej do pewnego wieku nie wypowiada wojny stanowczej. Tą potęgą jest niezaprzeczenie moda.

Bogata czy uboga, młoda zupełnie—czy posuwająca się w lata, zdrowa czy słabowita, w większym lub mniejszym stopniu liczyć się musi z tą kapryśnicą nieubłaganą, i spłacać jej haracz pod postacią czasu i pieniędzy.

Są tu stopniowania nader liczne, są hamulce przeciw zachceniom tej despotki, ale faktem jest, że o ile zwalczenie mody nie wychodzi z głębi przekonań kobiety, o ile nie oswobadza się ona z tych więzów siłą umysłu i poślubieniem dobrowolnem celów odsuwających modę na plan dalszy, o tyle walka podjęta dzięki przymusowi zewnętrznemu, kończy się zawsze prawie porażką.

Ta, której brak środków nie przestaje pożądać; inna, której dobry prawdziwie ton jej sfery towarzyskiej nie pozwala poddawać się wszechwładztwu mody, czeka nieraz tylko na sposobność sprzyjającą. Innemi słowy, czego nie dokaże w tej sprawie własne poczucie godności, zrozumienie podniosłosci wielu zadań leżących odłogiem, tego z pewnością nie dokażą zakazy, przełożenia, ani nawet samo niepodobieństwo oczywiste.

Skoro tedy taką jest wszechmoc tego czynnika, postarajmy się dociec zkąd on się bierze — jak się wytwarza — za czyją sprawą wchodzi w życie. Oto jakie co do tego objaśnienia daje nam jeden z brukowych dzienniczków paryzkich.

Kto pragnie dowiedzieć się, mówi on, jakim sposobem rzuca Paryż światu całemu wskazania swoje, niechaj pośpieszy przed jeden z kościołów, w którym w tej chwili odbywa się ślub dwojga młodych ludzi, pochodzących ze sfery przywileju. Czy to będzie przywilej urodzenia—dostatków, intelligencyi, lub władzy—mniejsza z tem, zwłaszcza że dzisiejsza Francya demokratyczna łączy ze sobą wszystkie te sfery do pewnego przynajmniej stopnia. Otóż poza osobami główne mi, to jest poza młodą zaślubioną starającą się ukryć swoje wzruszenie, co jej się udaje rzadko, i poza panem młodym usiłującym przybrać minę jak można najmniej głupią, co mu się nie udaje nigdy, wylewa się ze wnętrza świątyni tłum kobiecy, świetny, błyszczący, strojny, olśniewający oczy nieświadomych urokiem swoim, a mogący przerazić każdego, ktoby przejrzeć mógł jakimś darem tajemnym i zliczyć zasoby materyalne, które się złożyły na te blaski, i próżnię bezdenną umysłów, które tyle wysiłków zdecydowały się podjąć dla tak mizernego rezultatu. Nie o te jednakże sprawy chodzi nam tutaj, i dlatego pominąwszy wszelkie cisnące się na myśl uwagi poważniejsze, powrócić nam wypadnie do założenia naszego.

Pomiędzy grupami widzów, więcej lub mniej przejętych, jest tam zawsze jedna grupa kobieca, ubrana bezpretensyonalnie, składająca się z osób wieku średniego, o twarzach żywych—gestykulująca, robiąca uwagi cichsze lub głośniejsze, a składają tę grupę t. zw. *pierwsze* wszystkich pierwszorzędnych magazynów damskiej konfekcyi.

Tu się oceniają efekta wywołane ukazaniem się jakiegoś nigdy przedtem nie widzianego modelu, tu się porównywa, krytykuje i stawia horoskopy trwałości dla nowych pomysłów. Te kobiety jedne znają genezę wszystkiego, co stanowi przedmiot przeglądu, wiedzą czyjej inwencyi jest ten stanik trochę teatralnego charakteru, zkąd wyszła ta piękna draperya fałdów przypominająca styl Ludwików—z jakich fabryk te powiewne gazy, krepy, jedwabie cięższe i lżejsze.

Ten aeropag krytykuje, sądzi, potępia, podnosi, wysławia, porównywa, odrzuca, notuje i podkreśla. To samo co tutaj przed kościołem, robi on w salonie w dzień t. zw. *vernissażu*, to samo w Longchamps, to samo przy każdej sposobności, która ściąga tłumy, gdzie się gromadzą te, które zdołają zadziwiać drugich i te które wzdychają i zazdroszczą.

Potem przychodzi kolej na zrobienie planów, na dyskusye z szefem zakładu, na podsuwanie pomysłów rysownikowi, nareszcie na stworzenie czegoś oryginalnego — czegoś za czem upędzają się wszystkie firmy — jednem słowem—na stworzenie modelu.

Model, oto słowo magiczne, które rozwiązuje zagadkę. Nie trzeba jednakże przypuszczać, aby tylko firma pierwszorzędna, miała monopol stwarzania modelów. Niekiedy skromna szwaczka podrzędnego jakiegoś magazynu wpadnie na myśl szczęśliwą, a wtedy i renoma zakładu i jej karyera osobista są zdecydowane. Na tym palącym bruku Paryża urastają ciągle wziętości wszelkiego rodzaju z taką szybkością błyskawiczną, z jaką następnie przechodzą w zapomnienie wyeliminowane przez takie znowu gwiazdy, które niespodzianie zdołały przyćmić dawne i olśnić oczy widokiem nowości. Byle nowe—byle nie to samo — byle nie to co było wczoraj!

Taki model nabywa przedstawiciel domu pierwszorzędnego w drodze konkurencyi z innemi firmami — nabywa rozumie się drogo, a więc reprodukcya jego w jak największej liczbie egzemplarzy ma pokryć koszta, a resztę zadania spełnić już tutaj musi popularność samej firmy i stojąca na jej usługi dziennikarska reklama.

Nie pójdziemy śladem tych powodzeń, bo niezbyt czyste są szlaki, po których chodzą takie rozgłosy. Często przyczynia się do powodzeń nazwisko kobiece, któremu pobłażliwość tylko dzisiejsza otwiera prawo obywatelstwa na szpaltach dziennikarskich—często przez upadki i niesławy ludzkie szerzy się fama takiego stroju. Ale kto pyta o te drogi? Kto się zastanawia nad czystością źródeł tego rozgłosu? Nie w naszym wieku z pewnością liczą się ludzie z takimi względami.

Są też i domy, które zrobiły sobie specyalność z wystawiania modeli. Te płacą drogo wszystkich pracowników mających pomysły, czyli jak się o tego rodzaju uzdolnieniach mówi na bruku paryzkim—mających geniusz. Niechajże będzie geniusz, skoro go tam tak nazywają, ale treścią rzeczy jest, że takie modele nabywa: Berlin, Wiedeń, New York, Chicago, a nawet dotąd nabywa jeszcze i Londyn.

Nabywa wprawdzie, ale ciągle nabywać nie ma ochoty, a nawet jak przeczuwają Francuzi, na seryo nosi się z myślą zrobienia konkurencyi wszechwładnemu Paryżowi.

Już mu się udało wydrzeć pierwszeństwo Francyi w zakresie ubrania męzkiego, i dzisiaj znać tę abdykacyę ze strony paryzkich krawców pierwszorzędnych nawet, którzy na wystawach swoich zakładów wywieszają napisy: *Englisch tailor.* Zresztą czynność tych niestrudzonych przemysłowców nie zasypia ani na jedną chwilę i obecnie pieniądz angielski zwęszywszy gdzieś 7 od sta zysków, wciska się w każdą gałąź produkcyi poza granicami swego kraju. Francuzi lękają się bardzo tej konkurencyi potężnej kapitału obcego, i z niepokojem wyczytują, po angielskich i własnych swoich dziennikach anonse tej np. treści, które nawiasem mówiąc coraz częściej się trafiają: „Syndykat angielski rozporządzający summą 62 milionów franków poszukuje lokacyi procentującej dla tego kapitału."

Otrzymują też właścicielki magazynów francuzkich „bardzo ludzące od kapitalistów angielskich oferty, ale jak się pocieszają Francuzi sami, bronią się one dotąd wytrwale. Dotychczas nazywają oni tę gałąź przemysłu wyłącznie narodową, a niby jest o co, jak to mówią, karku nakręcać, bo statystyka przemysłu podaje wytwórczość konfekcyi damskiej we Francyi na 180 milionów franków, której odsetki przynoszą najmniej 15 milionów franków czystego rocznego zysku. Czy długo utrzyma się Francya przy tym monopolu, czy ona a nie Anglia pozostanie nazawsze kusicielką słabszych charakterów kobiecych—czy też może wraz z postępem idei, która życiu niewieściemu szersze dzisiaj zaczyna naznaczać widnokręgi, zechce tę smutną sławę zamienić na inną, godniejszą wielkiego narodu—trudno jest przewidzieć. To pewna, że bardzo stoi ona przy tem ta dzisiejsza Francya—że widzi w tem jedną z arteryi potężnych pomyślności materyalnej, a inne względy wydają się jej dotąd względami mniejszej wagi.

Zresztą przesądzać trudno zawsze co do przyszłości.

Z.



Kwiat paproci.

(Nie-bajka).

(Dokończenie.)

A dziecko? To dziecko, które przyszło na świat pod oną porę, gdy słabła moc Boża nad światem, odczuło wprędce wyjątkowość położenia swego, wyjątkowość pisanych mu losów. Ciche, milczące, zadumane uchodziło z oczu ludziom i temu ojcu, którego spojrzenie nigdy nie spoczęło dłużej na jego jasnej główce, który nie miał dla niego ani pieszczot, ani igraszek, któremu sam widok chłopięcia wyraźny i dotkliwy sprawiał ból. To dziecko usuwało się samo w cień, błądziło z piastunką po oddalonych alejach ogrodu, po nieuczęszczanych przez ojca pokojach, mówiło mało, poważnie i szeptem. Smutny był ten mały Janek. Nie bawił się hałaśliwie, wesoło, jak inne dzieci w jego wieku, nie cieszył się cackom, które ojciec czasem posyłał mu do jego pokoju.

— Za mądry on na to!—mawiała do siebie piastunka.

Ale gdy czasem zachód snopem złota rzucił w okna starego domu i wzniecił w nich pożar czerwony, i barwy jakieś wydobył, z nich tajemnicze, wtedy rozjaśniała się twarzyczka smutnego dziecka, oczy błyszczały zachwytem, i wyciągało ręce do tego czarownego zjawiska, które widać w duszy jego budziło jakąś drżącą strunę przeczuć, czy może wspomnień zaświatowego gdzieś bytu. A kiedy zdala ozwało się granie fujarki pastusznej, i tęskne głosy jej leciały powietrzem wiosennem, ponad jasną zielenią pól, wtedy z oczu zasłuchanego Janka rzucał się strumień łez, i piastunka troskliwa żadną pieszczotą ukoić rozczulenia jego, tęsknoty jego nie mogła.

Wcześnie też zasłyszał legendę o nocy świętojańskiej, i dowiedział się, że ta noc narodzin jego była nocą, i dostrzegł, a raczej odczuł lęk jakiś zabobonny w słowach domowników, którzy baśń o kwiecie paproci z faktem jego przyjścia na świat dziwnie jakoś łączyli, plątali, a chłopiec rozmarzał się. Po raz pierwszy otworzył oczy wtedy, gdy otwierał kielich swój czarowny kwiat, nieuchwytny kwiat, mogący szczęście dać ludzkości całej... A może on, może on ten kwiat odnajdzie.

Nie miał więcej jak osiem lat życia, gdy myśl ta zaczęła w głowie jego kiełkować.

Było to w rocznicę urodzin jego. Piastunka Janka zazwyczaj noc tę całą przepędzała na modlitwach, które ofiarowywała za odwrócenie uroku od umiłowanego chłopięcia. I teraz, gdy klęczała w kąciku, odmawiając różaniec, wydało jej się, że Janek poruszył się na łóżku. Wstała, i przybliżyła się zaniepokojona, bo w tę noc trwoga ją zwykle ogarniała niewytłómaczona i z lada powodu. Janek siedział na łóżku wpatrzony w okno. Do pokoju wpadały promienie miesiąca, było prawie widno. Dziecko jakby urzeczone, nieruchome patrzyło przed siebie.

— Janeczku, a czemuż ty nie śpisz, a toż połóż się dziecino! W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — mówiła, robiąc nad nim znak Krzyża w powietrzu.

Ale dziecko jakby nie słyszało, nie poruszyło się nawet. I biednej kobiecie przyszło na myśl, że widać naprawdę w tę noc moc Boża słabnie nad światem. Pot zimny wystąpił jej na czoło. Nie wiedziała, co mówić dalej. Chłopiec tymczasem drgnął, i wziął ją za rękę.

— Nianiu, ty wiesz, ty mi powiedz, jaki on jest?.. Za mgłami gdzieś, daleko, strasznie daleko—ja go widzę...

— Kogo, syneczku? Śni ci się coś. No, połóż się na bok, główkę do poduszki przytul... a przeżegnałeś się ty przed spaniem?..

— Trochę go widzę... on jest purpurowy, purpurowy jak... krew.

— Co! O Jezu słodki, co on też gada? Co ty widzisz?..

— Kwiat, kwiat... o widzisz... czerwony... prędkim, urywanym głosem mówiło dziecko—ja go znalazłem... kwiat paproci!..—I jakby znużony nadzwyczajnym wysiłkiem opadł na poduszki.

— O Matko Najświętsza! — jęczała biedna kobiecina.—O weź-że Ty go w swoją opiekę! Urzeczony! Toż prawdę mówili że urzeczony! I na przemiany to biła się w piersi, i całowała ziemię, to otulała i pieściła chłopca, który zasnął prawie nagle, ciężkim, głębokim snem, jak gdyby bardzo znużony.

Dziwne dziecko wyrosło na młodzieńca, który tym samym dawnym swoim, smutnym i rzewnym wzrokiem na świat spoglądał.

— Marzyciel! Entuzyasta!—mówili jedni!— Człowiek nienormalny!—wyrokowali inni.

On o tem nie wiedział! Wpatrzony w siebie, w łańcuchy mar rozwiewnych, które snuła jego wyobraźnia, mało żył z ludźmi, choć dusza jego słodka, łagodna mieściła w sobie niewyczerpane skarby miłości dla nich. Ten piękny młodzieniaszek o błękitnych, czystych oczach, nigdy nie obraził nikogo, nie dotknął boleśnie. Pełen przebaczenia i wyrozumiałości nie potępiał nigdy, a czasem jednem spojrzeniem tych smutnych głębokich oczu swoich nietylko poruszał winowajcę odepchniętego przez innych, ale porywał go za sobą, i na wyżyny pociągał. Rzucony wśród obcego miasta, otrzymał od cudzoziemców przezwisko „anioł jasnowłosy," a od garstki swoich, od współtowarzyszów pracy naukowej rodzaj jakiegoś niezupełnie uświadomionego uwielbienia, które wyosabniało go cokolwiek. Koledzy szanowali go, i kochali głęboko, ale nie zbliżali się doń, nie poufalili z nim. Za czysty był, zbyt naprawdę anielski. Za jego ukazaniem się milkły swawolniejsze rozmowy, jaskrawsze słowa gasły mówcom na ustach. A on nie moralizował przecież nigdy, nie stawiał zarzutów. Tylko nastrój ducha jego był zawsze o parę tonów wyższy, niż innych.

Za to w chwilach podnioślejszych ku niemu zwracały się spojrzenia wszystkich. Z krynicy ducha jego spodziewano się zawsze rosy ożywczej. I lał się wtedy strumień natchnienia z ust jego, i dusze młodzieńcze przyjmowały je w siebie, i zapalały się świętym ogniem entuzyazmu.

— Widzisz te pola, te lasy?.. wzrok mój biegnie dalej, dalej, poza nie... Dziwnie jest mi w tej chwili. Zdaje mi się, że ogarniam widnokręgi sto razy szersze niż te, które w zwykłym stanie źrenica ludzka objąć jest zdolna. Widzę wieś moją, i las ten widzę czarny, w którego cienie wpatrywał się z ciekawością dziecinny mój wzrok... W tym lesie, w tym lesie zakwita teraz cudowny kwiat paproci. Dziś noc świętojańska, bracie. Dziś nie pójdę szukać kwiatu paproci. W obcym nie znajdę go lesie. On rośnnie tam, gdziem ja się urodził. On w dzień urodzin moich zakwitnie! . Patrz jak widno, bracie mój... hej najdłuższy dzień, najkrótsza noc, świętojańska noc! Za lat parę, może za rok pójdę szukać kwiatu paproci, pójdę w mój las! Widziałem go już—widziałem purpurowy jak krew! Sobótki zapłoną po wzgórzach, a ja pójdę i znajdę, znajdę ziele czarowne, albo.. ha, i w takim razie znajdę paproci kwiat..

— Pójdziemy szukać go razem!

I poszli.

Noc. Na mchach leży Janek. Oczy zachodzą mu mgłą, ciała swego nie czuje, tylko w piersiach żar straszny. Rękę lewą do piersi przyciska, prawą wyciąga przed siebie bo przed nim majaczeje we mgłach czarowny kwiat świętojański. Coraz bardziej zbliża się ku niemu purpurowy kwiat ofiary. Już jest tuż nad nim! Cudowny, cudowny! Miał przynieść szczęście jemu i innym wielu. Janek czuje woń jego rozkoszną, upajającą woń purpurowego kwiatu. Ta woń zmysły mu mąci... Za tą wonią dusza jego się wyrywa, ulata...

Gdy nazajutrz ranek ozłocił listki brzóz i osik leśnych, schylona nad trupem Janka klęczała piastunka chłopka i zawodziła:

— Oj, znalazłeś ty se sokoliku kwiat paproci, znalazłeś!

I całowała zimne jego stopy i ręce blade i pierś rozdartą...

Z...a.

KRONIKA.

Nowy kościół.

W dniu 25 Czerwca r. b. w przytomności duchowieństwa, członków komitetu budowy i licznych mieszkańców dzielnicy odbył się obrzęd założenia kamienia węgielnego pod nową świątynię, po uprzedniem poświęceniu miejsca na ten cel wybranego. Pierwszą cegłę położył ks. Siewierski, proboszcz tamtejszej parafii a zarazem inicyator i ofiarodawca główny, który złożył na budowę kościoła Wolskiego rs. 30,000. Dalej idą zapisy: ś. p. Czabana, który pozostawił przyszłemu kościołowi na Woli summę rs. 25,000 i ś. p. Milewskiego, który ofiarował na ołtarz wielki rs. 20,000. Plac przedstawiający dzisiaj kapitał 20,000 rs. i 4,000 rs. są darem p. Hałdoka. Okoliczni właściciele cegielni z p. Sznajdrem na czele zobowiązali się dostarczyć bezpłatnie 100,000 sztuk cegły, wreszcie na zebraniu gminnem zadeklarowali parafianie złożyć do reszty summy potrzebną kwotę. Nowy kościół wzniesionym zostaje pod wezwaniem św. Stanisława biskupa; dawny, jako filialny otrzyma wezwanie św. Wawrzeńca. Budowa stać będzie pomiędzy tak zwaną drogą Obozową a plantem kolei Obwodowej; plan jej nakreślił budowniczy Józef Dziekoński, któremu miasto nasze tak wiele ma dotąd już do zawdzięczenia. Kościół pozostanie podobnie jak Pragski nietynkowanym nazewnątrz. Styl nadwiślańsko-baltycki, w kształcie krzyża łacińskiego o trzech nawach prawie równej wysokości pod jednym dachem, na piwnicach sklepionych, których część przeznaczona będzie na kaplicę przedpogrzebową.

Obszar kościoła razem z murami wynosić będzie długości 235 stóp, szerokości w nawach 76, w ramionach krzyża 122 stopy; obliczają też, że pomieścić on będzie mógł 4,000 ludzi — w przybliżeniu tyle co kościół św. Augustyna przy rogu ulicy Dzielnej i Nowolipki. Wysokość od ziemi do gzemsów 80 stóp. Na froncie zdobnym ornamentacyami wieża strzelista murowana z zegarem 240 stóp wysokości i dzwonnica zakończona 7-iestopowym krzyżem żelaznym.

Sprawy miejskie.

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych w celu przygotowania rzeźb i ornamentacyi do budowy gmachu Towarzystwa ogłasza trzy konkursy na 1) szkic wypukłorzeźby, 2) na szkic udekorowania trzech okien pierwszego piętra wypukłorzeźbami, 3) nakoniec na szkic dwóch grup, które mają być umieszczone przy wejściu do gmachu.

Życzymy z serca, aby to były rzeczy piękne, aby zadawalniały miłość własną naszych artystów, a nawet budziły podziw obcych, jeśli to jest możebnem — życzymy, aby cały gmach odpowiadał godnie przeznaczeniu swojemu przyszłemu, ale wyznajemy szczerze, że te wszystkie życzenia byłyby o wiele gorętsze z naszej strony, gdyby nas nowopowstająca budowla nie pozbawiała znowu jednego z ostatnich niewielkich placów, jakie pozostały Warszawie i jednego z resztujących skrawków zieloności, na których się udręczone letnią spiekotą oko mieszkańca zatrzymać może. To jest dojmujące prawdziwie uczucie widzieć ciągle jedną i tą samą metodę zabudowywania każdego choćby trochę otwartszego miejsca, a przytem trudno nam jest zrozumieć pojęcie o dobrym smaku, gdy idzie o charakter jednego gmachu, a zarazem brak zupełny tych względów, w innym razie, to jest wówczas, gdy idzie o całość miasta. Ostatecznie to przecież nie może być przedmiotem sporu, na czem miastu zależy więcej, czy na pozyskaniu jednego choćby też najpiękniejszego nawet pomnika, czy na zatrzymaniu w całości jednej ze swoich nielicznych zadrzewionych oaz, tembardziej, gdy ten gmach Towarzystwa sztuk pięknych mógł sobie stanąć tak dobrze tutaj, jak w jakiemkolwiek innem miejscu.

Za parę lat otwartym być ma wprost hotelu Europejskiego na placu dzisiejszego Banku dyskontowego, wedle zapewnień pism codziennych, na użytek przybywających do Warszawy gości swoich i obcych wielki hotel, wzorowany na najnowszych tego rodzaju zakładach zagranicą. Opowiadają dzienniki dziwy o zbytkownem urządzeniu pomieszkań, restauracyi pokrytej dachem szklannym, sali koncertowej i innych zapewnie równie zbytkownych jak kosztownych wspaniałościach hotelowych. Jak widać, spodziewać się muszą kapitaliści powodzi złotej ze strony cudzoziemców, bo niby od swoich bez złotego deszczu takich nagłych pomyślności przewidywać nie sposób, a tego zbytku, który jest wystarcza aż nadto.

Z prasy.

Pod nagłówkiem „Statystyka reklamą” pisze „Kuryer Warszawski” co następuje:

„Dane statystyczne nie zawsze są dokładne, ale najczęściej przynajmniej do prawdy podobne. Ale któżby przypuszczał, że wcale a wcale wierzyć nie można cyfrom wskazującym ilość osób uczęszczających do teatrzyków ogródkowych w Warszawie. Zdawałoby się, że gdzie z powodu pobierania szóstej części dochodu tych teatrzyków istnieje specyalna kontrola teatralna, tam można sprawdzić ilość osób obecnych w lożach, krzesłach i na ogródku. Tymczasem w teatrzykach w danym dniu są pustki, a statystyka głosi, że w jednym było 2 010, w drugim 1,954 i tak codziennie. Nie wierzcie więc statystyce ogródkowej, kończy „Kuryer Warszawski,” ona mówi nieprawdę. Z powodu jej kłamliwości, z dniem dzisiejszym zaprzestajemy ogłaszania tych wykazów.”

— Ha! jużciż lepiej późno jak nigdy. Nie jest to kłamstwo zresztą najujemniejszą stroną przedstawień ogródkowych, a tem mniej stroną jedyną. Repertuar tych teatrzyków, ich przyzętny zawsze najniższej moralności, nastrój zbiorowy stałych uczestników tych przedstawień, zajmowanie się prasy temi sprawami, krytyki teatralne, traktujące ogródki z pewnem namaszczeniem—wszystko to razem wzięte w życiu warszawskiem oddawna już wytworzyło szczególną atmosferę, w której kłamana statystyka jest doprawdy błahostką niezasługującą bynajmniej na oburzenie, gdy tamto dziwić i oburzać przestało. A należałoby też przy sposobności wspomnieć coś i o powieścidłach z życia aktorskiego, zaśmiecających sobą stale feljetony pism. Publiczności czytającej nie może to wcale obchodzić, że jakiś tam autor nie widział w życiu swojem nic więcej prócz budy wędrownych komedyantów, że niema on zmysłu do przejęcia się żadnymi szlachetniejszymi objawami życia—że ten autor poza upadkiem kobiety i alkoholizmem mężczyzny nie zdołał sobie rozszerzyć obserwacyi na życie społeczne, ale dziwi to już dzisiaj wszystkich, że tam, gdzie zawisły jakieś wstrętne strzępy osobistych jego wspomnień, usiłuje on ciągle wprowadzać czytelnika, pomimo że ten jest już tą strawą cuchnącą oddawna przesycony.

Nie można nikomu zabronić pielęgnowania osobistego pewnych upodobań, choćby też najmniej ogółowi zrozumiałych, ale nie należy dopomagać nakładcom do szerzenia się tego, co obraża jednocześnie i smak dobry i sens zdrowy, i najmniej nawet wymagającą moralność. Literatura belletrystyczna doby ostatniej nawskroś przesiąknięta tym miazmatem, wysłużyłaby świadectwo nicości dla zagadnień chwili, w każdym razie, gdyby można być przekonanym, że między kucharzami tej polewki literackiej, a ogółem naszym czytającym istnieje rzeczywista wspólność upodobań—że ten ogół podawanem ma sobie istotnie to, co miłuje, co go zachwyca—co mu przed resztą spraw najbardziej leży na sercu.

Mamy wiele powodów mniemać, że jest wprost przeciwnie, że to budzi już nareszcie nieuniknioną odrazę, niesmak, znudzenie, i że czas przychodzi w którym i teatrzyk, i jego bohaterowie i ich frazesy o miłości sztuki zajmą w życiu naszem należne im miejsca poza jakimś parawanem, gdzie przebywali dotąd stale, i gdzie tylko najciekawsi i najmniej wybredni na przyszłość zaglądać będą. Chyba już tego, co napisano dotąd wystarczy.

Porada prawna.

Za zezwoleniem władz właściwych otwartą została w Warszawie pierwsza kancelarya pomocy prawnej przy ulicy Żabiej nr. 3. Do składu jej należą adwokaci: C. Brzeziński, O. Jurkowski, A. Kronenblech, H Levy i M. Zbrowski. Zadaniem kancelaryi jest udzielanie pierwszych objaśnień ustnych za minimalną opłatą 50 kop. i przyjmowanie spraw sądowych od klientów, a głównie niedopuszczenia ludności ciemnej i niezamożnej do organów tutejszego pokątnego doradztwa, od których, prawdę rzekłszy, roi się na ulicach, mieszczących w sobie instytucye sądowe. Jeśli tedy biuro porady prawnej spełni swoje zadanie jak należy, może zapobiedz rozwielmożnionemu u nas pieniactwu warstw nieoświeconych, podniecanemu ustawicznie przez indywidua, na które dosyć jest rzucić okiem, ażeby zrozumieć jak te żywioły wplatają się w życie ludu naszego, i co z tąd zagraża jego bytowi i moralności.

Wskazówki i rady.

Modne nowe podanie białej sztuki mięsa.

Pokrajane zręcznie kawałki mięsa układać na okrągłym półmisku w okrąg w kształcie góry, posypać włoszczyzną karbowanym nożem krajaną i ubrać gałązkami zielonej pietruszki. Do ubrania półmiska nie sieka się pietruszki, ale rwie na drobne gałązki.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

JAN GRUCZYŃSKI i SKA

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

polecają na sezon bieżący w wielkim wyborze:

Kretony, Piki, Płócienka, Krystaliny, Batysty, Organdyny, Satynki, Zefiry i Muśliny angielskie.

Podszewki jedwabne pod suknie muślinowe w modnych kolorach od 40 kop. 860—20—0

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ✤ ROBERT WILCZYŃSKI

810—50—21 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-29

F. Bobrowski & Urbański

2. Wierzbowa 2.

Polecają wielki wybór bluzek damskich do prania (nowe desenie i rodzaje)

POŃCZOCHY FIL D'ECOSSE SZKOCKIE

903—3—3 nowe zupełnie desenie w wielkim wyborze.

Ważne dla pp. Krawcowych!
Kroazy we wszystkich kolorach,
Nicianki, Towary Norymberskie
i wszelkie dodatki do sukien po cenach najniższych 758-25-17
poleca Magazyn
M. SADOWSKIEGO
7. PODWALE 7.

Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72*

MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo *Jerozolimska 72* 766—50-41

Gabinet-dentystyczny.
ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-19 **przyjęcie od 9 do 6:**
Chmielna N-r 16. m. 4.

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Sukien
J. Królikowskiej
Niecała № 7, Marszałkowska № 114.
Polecają najnowsze fasony na każdy sezon po cenach umiarkowanych. 726—25-20



!! BEZ KONKURENCYI !!

Wózki dziecinne i Welocypedy najnowszych zagranicznych fasonów
poleca fabryka
I. SŁOBODSKIEGO
872—10—9 Długa Nr. 30 Warszawa.

Zakład Ogrodniczy
W. Urbańskiego
b. pracownika firmy C. Ulrych oraz współpracownika firmy K. Kozłowski Bracka 11. Wielki wybór roślin, kwiatów ciętych, Bukiekiety, wieńce i dekoracye.
Ceny przystępne. 912—12—1

Dla Pań malujących
Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład
T. CZARNOCKIEGO
101, Marszałkowska 101,
w WARSZAWIE. 812-50-21

857—12—12

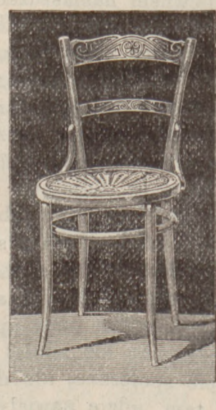
NA RATY

Lasy na letnie mieszkania i stacye klimatyczne oraz place podmiejskie.

Wypłata od 2—3 lat **drobnemi** ratami. Koleje: Nadwiślańska, Petersburska, Wiedeńska, Markowska, Wilanowska i t. p. Place na Woli i Pradze.
Wiadomość: **Nalewki 13 miesz. 5a, albo Nowy-Świat 30 miesz. 1 (kolonizacya).**

„Sudorivorat"
Potniki do obuwia męzkiego i damskiego. Obstalunki od rs. 3 załatwiam za zaliczeniami. Nowy Świat 61. 908-24-1

Lodownie pokojowe, Kuchenki naftowe i inne, Łóżka, Wanny, Wagi, Naczynia kuchenne.
J. Zabokrzecki i S-ka
Senatorska №. 12
891—6—5 (obok Ratusza).



Najwyżej zatwierdzone Akcyjne Towarzystwo fabryki mebli wiedeńskich

Jakóba i Józefa Kohn

WARSZAWA,
Pl. Teatralny Nr. 11, róg Senatorskiej.
poleca:
meble wiedeńskie od najprostszych do najwykwintniejszych.
Garnitury salonowe.
909—2—2
Wybór najbogatszy. — Ceny przystępne.

W.W. Paniom
Wyborowe i zawsze świeże
Ciasta i Cukry
poleca 914—20—1
CUKIERNIA
W. Ładewskiego
Leszno Nr. 14.

Po dziesięcioletniej praktyce w pierwszej haftarni Panny Bobrowskiej, otworzyłam pracownię haftów i przyjmuję roboty maszynowe i ręczne. 759-24-17
Miodowa Nr. 1.
miesz. 17, 2 brama 1 piętro

NANON
najlepsza, najtańsza pomadka, dostać można wszędzie. 866—13—7
D. Sukiennik
Królewska 16.
NANON

Pierwszorzędne biuro **Michaliny Ptak** i **Antoniny Piaseckiej** zostało przeniesione na Krakowskie Przedmieście Nr. 38 wprost Placu Saskiego. 904—25—1

ZAKŁAD GALWANICZNY L. Kardaszyńskiego
ulica Czysta Nr. 8 w Warszawie.
Przyjmuje do reperacyi i odnawiania wszelkie wyroby **z różnych metali** po możliwie **nizkich cenach.** Stołowa robota z 2-letnią piśmienną gwarancyą. 760—25—17

---

od rs. 125 ROWERY DAMSKIE od rs. 125

poleca Skład Angielsko-Belgijskiej fabryki
„MERCURY"
A. BORNSTEIN, Nowy-Świat 66.
905—12—3 Rowery te odznaczają się elegancyą, trwałością i lekkością



W.W. Paniom poleca się
nagrodzony na wystawie pracy kobiet
PATENTOWANY SZYNDLERA
BIUSTHALTER
Senatorska Nr. 26. 776B—20-16



APTEKA K. WENDY

873-18-9 Istniejąca od czasów elektorów saskich.

45 Krak.-Przedm. Telefonu Nr. 107.

Wszelkie najnowsze środki lekarskie, Trany, Wina lecznicze, Mydła lekarskie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Іюня 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Pan Komisarz kazał Krystynę odwieść do pałacu.

Starościna na widok zapłakanej wieśniaczki z początku gniewnie zmarszczyła czoło; wzrokiem pełnym pogardy przemierzyła głupią chłopkę, która szalenie odrzucała tak świetną przemianę materyalnego bytu; ponieważ jednak Krystyna w istocie była młodą, hożą, zdrową i miała nadal pozostać w pałacu, pomyślila przeto, że rozjątrzenie mamki mogło zgubny wpływ wywrzeć na jej zdrowie, na pokarm, a tem samem na ukochanego wnuczka. Zaczem zdobyła się na niezwykłą łagodność, wystawiając rozżalonej korzyści, jakie z chętnego przyjęcia tak ważnych obowiązków wynikłyby dla niej i dla całej rodziny.

Krystyna nie mogła się utulić, łkaniem odpowiadała na wszystkie zachęty; Starościnie już miało zabraknąć cierpliwości, gdy szczęściem, odgłos niezwykłego w domu ruchu, sprowadził hrabinę.

Matka Władysława tylko co była powstała z pościeli; widząc klęczącą u nóg Starościny zapłakaną wieśniaczkę, zbliżyła się ku niej z dobrocią i podniosła ją za ręce.

Krystyna pierwszy raz wzniosła oczy do góry.

Widok bladej, pochylonej nad nią twarzy, znękanej cierpieniem i przeświecającej głębokiem z serca miłosierdziem, zastanowił wieśniaczkę. Ostatnie dwie grube łzy zakrążyły jej w oczach, ale już nie spłynęły po licu; utkwiła wzrok w młodą swoję panią; znać było po jej rysach, że jakaś okropna boleść, ostatnim kleszczem przelotnie ścisnęła ją za piersi. Otarła fartuchem oczy i drżącym głosem wyjąkała, że skoro już tak na nią przypadło, aby poszła na mamkę panicza, poddaje się woli Bożej i pańskiej, prosi tylko, aby jej wolno było pożegnać się z maleńką jej Nastusią i powierzyć dziecię jednej kumie, która może też będzie miała nad nią pożałowanie.

Starościna udobruchana nagłą przemianą wieśniaczki, przyrzekła, że sama pośle pana Komisarza z rozkazem, aby kuma jak najtroskliwiej zajmowała się dziecięciem, że nadto, jeżeli Krystyna wiernie poświęci się swoim obowiązkom, obiecuje wziąć Nastusię do dworu i zająć się jej losem.

Os[...]tni warunek nie był koniecznym. Cicha dobroć hrabiny, słodycz jej postępowania, zwłaszcza zaś tajemne wewnętrzne cierpienie, które chyliło ją ku ziemi, niewytłumaczonym pociągiem ujęły wieśniaczkę za serce. Władyś nie mógł dostać lepszej mamki.

Krystyna nieraz byłaby wiele łez swoich oddała za wywołanie uśmiechu na oblicze swej pani; czuwała nad dziecięciem więcej, niż niegdyś nad własną córeczką, przekonana, że takowe postępowanie dodawało wesela hrabinie; widząc wreszcie, że chłopiec dzięki staraniom zdrów był i silny, całą duszą przywiązała się do wychowańca.

Czasami wprawdzie Krystyna kołysząc pańskie dziecię, lub tuląc je do piersi, coraz ciszej śpiewała swoją piosenkę, aż wreszcie, zaprzepaszczając nie wiedzieć gdzie wzrok, całkiem ją ucinała. Nieboga myślała o swojej Nastusi, która w tej chwili, może opuszczona, nadaremnie wyciągała rączęta ku przybranej matce. Zdala dochodzący ją głos hrabiny, lub słodkie i tęskne jedno jej spojrzenie, rozpędzały te smutne marzenia. Krystyna znowu ciągnęła dalej wesołą piosenkę, i chcąc niejako wynagrodzić chwilowe zapomnienie, tkliwszemi pieszczoty okrywała dziecinę.

Hrabina tymczasem widocznie upadała na siłach. Jaskrawy rumieniec wystąpił na jej lica, głowa pochyliła się ku piersiom, oczy szkliły gorączkowo. Chora skarżyła się na kaszel i bezsenność, które przypisywała zaziębieniu.

Pomimo wielu zaradczych środków, stan jej zdrowia wcale się nie polepszał. Lekarze radzili, aby wyjechała do wód i następnie przepędziła zimę pod łagodniejszym klimatem.

Hrabina utrzymywała, że od pewnego czasu czuje się daleko zdrowszą, że nie opuszczając domu powróci do sił, stan jej atoli, codzień wyraźniej zadawał fałsz tym zapewnieniom.

Starościna przerażona groźbami lekarzy, zwykłym sobie tonem oświadczyła córce, że za tydzień wyjedzie do wód, a ztamtąd na zimę uda się do Włoch.

Hrabinie łatwiej było umrzeć przy Władysiu, niżeli się z nim rozłączyć; wiedziała, że Starościna nigdy nie przystanie na wypuszczenie z domu wnuczka, nie pomyślila jednak nawet o oporze, ostatnie tylko noce przepędziła przy kolebce Władysia, i opatrzona od matki pocałowaniem w czoło i znakiem krzyża świętego na drogę, wyjechała.

Ten pocałunek i ten krzyż, miały w sobie coś zgubnego.

Hrabina nie wróciła już więcej do swego Władysia; umarła w Salzbrunn.

Sprowadzono ciało nieboszczki. Starościna kazała z wielkim przepychem odprawić mszę żałobną, sama też podczas *requiem* kilka razy zemdlała, i znowu wszystko wróciło do dawnego stanu spokojności i porządku; Władyś tylko zamiast różowych lub błękitnych wstążeczek u czepeczka, nosił czarne.

Krystyna odtąd coraz silniej przywiązywała się do chłopczyny; całą miłość, jaką przyjęta była dawniej ku matce zwróciła teraz na jej osierociałe dziecię. Często miewała niepojęte, tajemne ostrzeżenia, i tak, przypominała sobie, że gdy nikt jeszcze w domu nie wiedział o śmierci hrabiny, ona w nocy nagle zerwała się, i nie wiedzieć dlaczego, zaczęła gorzko płakać i tulić dziecię, które również choć zdrowe, zanosiło się od łez.

Starania wieśniaczki nie były daremnemi. Dziecię nabierało sił, po roku samo już chodziło; Krystyna na chwilę nie spuszczała go z oka i tak troskliwie pielęgnowała, że gdy chłopiec przestał do życia potrzebować jej piersi, Starościna nie chciała puścić jej z domu, a pamiętna na dawną obietnicę, pozwoliła piastunce sprowadzić do siebie Nastusię. Dzieci miały wychowywać się razem.

Prawdę mówiąc, Krystyna nie napierała się o powrót do chaty. Mąż jej, od czasu jak go była opuściła, może z rozpaczy, a może też i dla braku kobiecego dozoru, oddał się rozpuście i pijaństwu, że zaś był to wysmukły i rzeźki parobczak, podoficer zatem huzarski rzucił nań oko i zwerbował do swego pułku.

Wkrótce pułk przeniósł kwatery gdzieś aż nad turecką granicę, i Krystyna odtąd nie miała żadnej wiadomości o swoim. Nie żałowała go też bardzo, pamiętając co się z niego stało w ostatnich czasach. Teraźniejsze położenie zupełnie zaspakajało potrzeby jej serca; o nic się nie troszczyła, byle tylko wszystkie chwile mogła poświęcić dwojgu zarówno ukochanym istotom.

Widok Władysia i Nastusi duszę jej szczęściem przejmował. Nie miała dla nich dość oczu, gdy bawili się razem, biegali po ogrodzie i śród kwiatów a zieleni, brzęczeli srebrnymi głosy, przeświecali jasnowłosemi główkami.

Kilka lat upłynęło. Dzieci znacznie popodrastały, z resztą w domu żadna nie zaszła zmiana. Starościna, jakby dosiągłszy apogeum swej zgrzybiałości, ani o włos więcej się nie pochyliła; na twarzy jej nie było już miejsca dla zmarszczków—na głowie oddawna samowładnie zapanowała siwizna. Przywiązanie jej do wnuczka rosło z każdym dniem; chciała, aby cały dom, podobnie do niej, nie żył, nie oddychał jeno dla Władysia. Chłopiec był małym Jowiszem, którego gniew, trwogą—uśmiech, weselem przejmował wszystkich mieszkańców starego pałacu.

Zkądinąd uleganie woli panicza nie było dla otaczających zbyt trudnem.

Władyś był rozkosznem dziecięciem; zawsze wesół, dowcipny, lgnący duszą do każdego przychodnia, z pieszczotą, skarbił sobie powszechną miłość, i rzadko kiedy nadużywał nieograniczonej władzy, jaką babka składała w drobnych jego rączętach. Było to dziecko, powodujące się pierwszym popędem, bawiące się bez granic i rozumiejące tylko teraźniejszą chwilę, nie znoszące żadnej zawady w swoich zachceniach, przyjazne wreszcie dla ludzi, którzy nigdy nie zrazili go ani sprzeciwianiem ani odmową.

Całe odmiennej natury była Nastusia.

W dziewczynce zmęczenie nie wywoływało tych rumieńców, jakimi zawsze błyszczała twarz małego jej towarzysza. Oczy miała wielkie, błękitne; drobna postać jej za każdem poruszeniem chwiała się i lekko uginała, na opak okrągłym zwykle ruchom dziecinnym. Władyś nie pojmował przyszłości—dla Nastusi obecna chwila była niczem. Zawsze za czemś myślą goniła i zawsze zwracała się za czemś innem, aniżeli za celem poprzednich ubiegów. Nieraz, ścigana przez swego rówiennika, wymykając się mu między kwiatami i krzewy ogrodu, nagle stawała jak wryta, pochylała

główkę, słuchała oczyma; niktby jednak nie domyślił się czego?... milczenie leżało do koła, chyba, że dziewczyna przysłuchiwała się dźwiękom, istniejącym podobno w naturze, ale mało od kogo dosłyszanym.

Cóż dopiero gdy Nastusia jęła rozpowiadać o rozlicznych snach, jakie na nią schodziły i czasami nie opuszczały nawet za przebudzeniem—o jakichś królach i królowych, co w złocistych szatach przed nią występowali; służba pałacowa za boki porywała się od śmiechu, drwiąc z zabawnych przywidzeń małej waryatki.

Nastusia mimo to była w łaskach u Starościny, Władyś bowiem nie mógł bez niej się obejść. Dziewczyna nie umiała w niczem postawić mu oporu; często porzucała ulubione sobie rozrywki, aby biedz za czemś co mniej ją bawiło, ale gdzie znajdowała większą przyjemność w spełnianiu woli małego towarzysza. Była słabszą; nie dziw, że mu ulegała, chociaż zkądinąd ile razy spadała na nich wspólna przeszkoda lub to samo dziecinne cierpienie, Nastusia starała się cały ciężar, cały smutek przyjmować na siebie, i z uśmiechającemi oczyma ocierała twarzyczkę Władysia, który się łzami zalewał.

Tak szybko przebiegły pierwsze lata, śród których dzieci rozwijały się pod troskliwą opieką Krystyny. Nadchodził czas rozłączenia; wzywały ich dwie przeciwne drogi.

Krystyna, obowiązki swe względem panicza miała złożyć w ręce Francuza guwernera, i sama powrócić do wioski. Władyś przyjął ten zamiar z najżywszem oburzeniem; poprzysiągł babce, że książki nie weźmie do ręki, jeżeli piastunka jego i Nastusia nie pozostaną w pałacu. Wnuczek postawił na swojem—nieośmielono się mu sprzeciwiać.

Władyś szybko dorastał pod okiem swego nauczyciela. Z łatwością przychodziła mu ta nauka, jaką zamierzano weń wpoić. Starościna nie chciała słyszeć o publicznem wychowaniu; lękała się obojętności obcych rąk, którym należałoby powierzyć ukochane dziecię, i postanowiła, po dojściu chłopca do lat młodzieńczych, dla nadania mu ostatecznej ogłady, wysłać go na jakiś czas wraz z nauczycielem do Wiednia.

Władyś niczemu się nie sprzeciwiał; czuł pomimo to, że nigdzie nie może mu być lepiej jak przy babce, i jeżeli niekiedy westchnął do wielkiego miasta, bezwątpienia zabawę raczej niż naukę miał na względzie.

O zięciu, pani Starościna bezpośrednio więcej nie słyszała. Dochodziły ją tylko uboczne pogłoski, że coraz gwałtowniej szalał, że nikt przy nim nie mógł wytrzymać, aż nareszcie gruchnęła wieść po okolicy, że pewnego dnia hrabia August Wilczek wyszedł na polowanie i więcej nie wrócił. W kilka dni znaleziono go zamordowanego i zawleczonego w jedną z najniedostępniejszych gęstwin lasu.

Surowe śledztwa nie wykryły zabójcy. Sąd musiał poprzestać na mniemaniu, że hrabia w napadzie hipokondryi sam sobie śmierć zadał.

Starościna zabroniła powtarzać przed wnuczkiem tysiącznych posłuchów, krzyżujących się o nieszczęsnym wypadku; sama oznajmiła mu o nagłej śmierci ojca. Wieść ta nie sprawiła silnego wrażenia na Władysiu' Ojciec był dlań całkiem nieznajomą osobą.

Wychowanie szło dalej nieprzerwanym torem; lata mijały jedne po drugich, Władyś nie bawił się już z Nastusią, chociaż często z upodobaniem wysłuchiwał jej piosenek, lub o szarej godzinie, w salonie babki kazał sobie rozpowiadać różne historye, jakie Nastusia obeznana z pismem, wyczytywała w starych książkach pałacowej biblioteki i powtarzała następnie, strojąc je w złote arabeski i w brylanty własnej wyobraźni.

Nawzajem, ile razy Władyś zaczął książkę jaką czytać swej babce, Starościna bowiem często go przywoływała, aby cieszyć się miłym jego głosem, Nastusia wtedy, zatapiała w nim oczy, chciwie chwytała każdy wyraz, a gdy odchodził, prosiła go ukradkiem, aby na drugi raz przyniósł raczej książkę z wierszami, niżeli zwyczajnie pisaną. Dziewczyna namiętnie lubowała się w tej harmonijnej, miarowej mowie; nieraz pytała dlaczego ludzie zawsze tak nie mówią, tembardziej, że tych samych wyrazów używają do mowy.

Złe i dobre losy przeplatują pasma każdego życia.

Starościna, oddawna wiodąca dni niezachmurzonej pogody, nagle doznała wstrząśnienia do ostatniej głębi uczuć.

Władyś, nie wiadomo z jakiej przyczyny, chociaż lekarze wiele ich naznaczali, uległ ciężkiej chorobie.

Gwałtowna gorączka padła na biednego chłopca, paliła go nieugaszonymi ogniami, miotała nim na wsze strony, roztrząsała kości, spędziła rumieniec z twarzy, i w krótkim przeciągu tak wysuszyła, że chory był do niepoznania.

Starościna, z rozpaczy odchodziła od zmysłów. Łzy, których źródło zdawało się w niej wyschłem na wieki, teraz, grubemi kroplami spływały po sędziwem obliczu.

Lekarze pocieszali ją o ile możności, przemawiali słowami nadziei, ale sami nie mieli w duszy spokoju, szeptali między sobą po łacinie, kręcili głowami, co chwila przemieniali leki, niekiedy na uboczu swarzyli się zażarcie.

Niezrozumiałe ich wyrazy dochodzące zdala domowników, cały dom napełniały niespokojnością i przestrachem. Starościna przestała płakać; oczy jej zaczerwieniły się, zapadły, nie słyszała gdy do niej mówiono, lub odpowiadała bez żadnego związku.

Krystyna wróciła do dawnej służby; znowu dnie i noce przepędzała przy łóżku swego wychowańca; nie śpiewała mu wprawdzie, jak niegdyś usypiających piosenek, ale natomiast ciągle odmawiała po cichu pacierz i wszystkie modlitwy, jakie tylko umiała na pamięć.

Pewnej nocy, gdy Krystyna, jak widmo blada z wycieńczenia, nie mogła dłużej utrzymać się na nogach, zmuszona odpocząć parę godzin, kazała zastąpić się Nastusi. Posadziła ją na swojem miejscu, i odchodząc raz jeszcze spojrzała na Władysia i na córkę.

Zdziwiona, zatrzymała się mimowolnie.

Nastusi szczególnie patrzyło z oczu. Dziewczyna wyglądała przezroczysto, promiennie; na twarzy jej leżała dziwna powaga, wzrok z pozoru spokojny, błyszczał gorączkowym zapałem. W milczeniu siadła przy łóżku chorego i zaczęła pilnie się weń wpatrywać.

Krystyna pomyśliła, że trud ćmił jej w oczach przedmioty i odeszła.

Nastusia została sama!

Chory spał; krew gwałtownie nim targała, oddech miał przytłumiony; bladł i czerwieniał na przemiany.

Nastusia zsunęła się lekko z krzesła, uklękła, jak gdyby pchana niewidzialną mocą.

Nad łóżkiem chłopca wisiał obraz Najświętszej Panny.

Dziewczyna wzniosła oczy w górę; zdawało się, że rysy malowidła coraz wydatniej wychodziły z płótna; tło coraz ciemniej w głąb zapadało, Boskie oblicze zaiskrzyło się łagodnie, do koła obrazku zawełniły się tęczowe obłoczki, niewymowny uśmiech zwolna rozkwitał na ustach Chrystusowej Matki; Nastusi zabrakło oddechu w piersiach, wzroku w oczach, zalała się łzami.

Nagle, zerwała się wyprostowana, przystąpiła do chorego, ujęła go za rękę.

Władyś podniósł powieki, zatoczył niespokojnem wejrzeniem; dziewczyna pochyliła ku niemu swoją twarz marmurowej białości i rzekła wolnym głosem:

„Panie mój — Władziu, dość już tych cierpień; chory jesteś, ależ przecie nie skaleczałeś; zechciej tylko gorącym sercem a powstaniesz; tyś mocniejszy od choroby. Widzisz ten obrazek nad łóżkiem? wstawaj natychmiast, dotknij go ustami.“

To mówiąc, Nastusia silnie targnęła go za rękę; chłopiec spojrzał na nią z uroczystym przestrachem, zwolna podniósł głowę, wsparł się na ręku, usiadł, ukląkł, nareszcie stanął. Nastusia wskazała mu palcem i padła na ziemię bez zmysłów.

Gdy przyszła do siebie, Krystyna klęczała nad nią i octem rozcierała jej skronie; Władyś spał spokojnie.

W tydzień potem, Nastusia wieczorem wracała z ogromnym pękiem polnych kwiatów i wyśpiewywała jedną z swoich piosenek, podczas gdy Władyś osłabiony jeszcze ale porzuciwszy już łóżko dla krzesła, siedział w otwartem oknie i patrzył jak zachodzące słońce skrywało się za lasem. Nie wiadomo dla czego słońce nigdy nie wydało się mu tak pięknem, piosenki Nastusi nigdy tak harmonijnemi.

Starościna uszczęśliwiona powrotem wnuczka do zdrowia, nie mogła dość na niego się napatrzeć, dość mu nadogadzać; mniemała, że Władyś dla tego tylko ożył, aby jej wyświadczyć łaskę, której tak gorąco pragnęła; nie zaniedbała więc wszelkiemi sposoby i w każdej chwili okazywać mu swojej wdzięczności. Hojnie wynagrodziła doktorów, którzy według jej zdania, dali tym razem najdzielniejsze dowody umiejętności, Krystynie zaś podarowała na wieczne czasy chatę z ogrodem i kawałem gruntu—na posag, jak mówiła, dla Nastusi.

(Dalszy ciąg nastąpi).